

Nikt jednak nie przyszedł do pana Władka z jakąkolwiek propozycją odkupu za mniej, lub bardziej racjonalną kwotę, ani jeden urzędnik-wywłaszczacz negocjator nie pojawił się, by chcieć wydrzeć działkę, wiekowy, od dawna nieremontowany dom, by wykwaterować staruszków do lokali socjalnych, czy też może zastępczych, opłaconych na miesiąc — dwa ("a potem — radźcie sobie sami!"), czy wręcz wyrzucić na bruk.

Inwestycja łaskawie — choć to chyba nie najtrafniejsze słowo — ominęła dom pani Gieni i jej syna. Jak się okazało — zwyczajnie nie było potrzeby wykupu ich działki, budowa, ta wszystko niszcząca rzeka lawy minęła, przepelzła obok, zakończyła się parę metrów od siatki ogrodzeniowej, za którą stał zgarbiony pod ciężarem lat, kryty eternitem domek.

Ucichły ryki, jęki, raz-dwa zniknął pseudo ekran, co żadnej akustyki nie tłumił, zjechali się oficjele z powiatu, województwa, Urzędu Marszałkowskiego, Narodowej Komisji Budowi i Remontu Dróg Lokalnych, prezydent miasta, dumny jak paw rozchlastał wstęgę, rozległy się brawa, klask, klask, klask, rozbłyskały się flesze aparatów, kto tylko mógł — spił się na urzędniczym afterparty, dziennikarze, komendant OSP, policjanci, nawet wikary z proboszczem zaprawili się równo. I poszło. Dosłownie. Polazło, potaptapało setkami, tysiącem nóg. Pociągnęła się, nieprzyjemnie blisko chaty Pancelszyków, sto... milionnoga, paskudny zwierz. Giry w szpilkach, trampkach, sneakersach, glanach, półbutach, kaloszach, ćwierćbutach, jednaósmabutach, w gumofilcach nawet, bo i czemuż by nie, w końcu to żadna metropolia, ani dzielnica willowa, gdzie w takim obuwiu chodzić nie uchodzi.

Przeszły kawalkady, karawany ludzkie, przechodziły tłumnie stada osób bez płci, zlanych w jedno babomęzczyzn, kobieto-chłopów, sunęły hordy perypatetyków, krucjateuszy, pielgrzymowiczów, spacerowiczów, wiecznie spóźnionych pracowników banku, poczty, urzędu skarbowego, kuśtykali kalecy, gibali się pijacy, piruecili deskorolkarze. Dochodziło do wywrotek, przypadkowych, albo i nie potrażeń, poszturchnięć, niekiedy — zderzeń, podczas których jeden, czy drugi pechowiec tracił zęby, łamał nos, łądował nabawiwszy się siniaków, z połamanymi okularami, czy rozbitym telefonem.

Strażnicy miejscy raz za razem wlepiali mandaty łamiącym zasady przepedtu przechodniom, szum, szumowisko wielkie i bez końca, gadanina niemal niezmiernona, dźwięczysko trudne do zniesienia, wyrosło, niczym olbrzymie drzewo-chwast za siatką Pancelszyków.

Rozmowy, przechodnie wpadający sobie w słowo, gąsienica, wij stunogi i stugęby, mający na grzbiecie zamiast włosków — języki. Potworne drzewo-owad, którego pysk, oczy, kora, liście i korzenie są porośnięte językami.

Gadka na każdy temat, a więc o niczym. Bezmowa, szum, szmer i przebijające się z niego pokrzykiwania, niejednokrotnie — pełne irytacji, wulgarne, albo nieprzyzwoite.

"Z połykiem?", "A chuj, stary, co z tego?", "...ci w mordę!".

Trudno ustalić, kiedy zaczęła się zmiana, chatynka ponadstulatki i jej syna zaczęła mutować. Pozbawiony naturalnej otoczki, niejako odarty z niej, wyrwany z przyrody, kojącego szmeru liści, dom Gieni i Władka

począł się przeistaczać. Niczym żywy organizm poddawany działaniu niekorzystnych czynników, zniekształcany, istota która znalazła się nagle w skrajnie toksycznym i mutagennym środowisku i nie spostrzega, kiedy wyrastają jej dodatkowe pletwy, błony pławne i płucotchawki, dom państwa Pancelszyków, nie wiedzieć, kiedy, za sprawą siakichś czarodziejstw, sztuczek magicznych, których katalizatorem była ciągła obecność i nieznośny tupot przechodniów, zaczął się przeistaczać.

Być może ogadywany dookoła, odeptywany, ostukiwany, opukiwany dziesiątkami tysięcy podeszew, okrążany w tę i nazad, biedny domulo nie wytrzymał po prostu, w całej jego martwej, statycznej, nieożywionej naturze zaszła zmiana o sto osiemdziesiąt stopni, оголоcenie jego najbliższej okolicy z drzew, obarierkowanie, osłupkowanie, otoczenie szerokim pasem chodników spowodowało, iż... pękł. Nie dosłownie, na żadnej ze ścian nie pojawiła się najmniejsza nawet rysa, nie odpadł choćby okruszek tynku. Metaforycznie — załamał się wewnętrznie, budynek starej daty, zamieszkiwany przez równie wiekowych właścicieli, aż do bólu niedzisiejszy, oldschoolowy, trącący myszką i wonią naftaliny, babciny, dziadkowy, lamerski, analogowy, dom na korbkę, kameralny, pocziwy dom zwyczajnie nie wytrzymał nagłej i bolesnej zmiany.

Choć stał spokojnie, nie muśnięty nawet zębem łychy, nie dotknięty przez koparkę, chociaż nie groziła mu nawet w najodleglejszych planach rozbiórka, przebudowa, ani rozbudowa, i wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że może sobie spokojnie dognić, dohodować w swym wnętrzu panią Gienię i jej syna — trzasnęło coś w nim, niesłyszalnie.

Nie chciałbym się silić na dość banalną metaforykę, animizować i antropomorfizować ciasnej i nieco zaniedbanej chatki, ale doprawdy —nie mam innego wytłumaczenia na to, co zaszło, jak tylko swoista depresja budynku, jego poczucie wyobcowania.

Chodzili, gadali wokół niego, zamiast świergolić jak wilgi i kosy, szumieć jak lipy i graby.

Ludzie, całe masy. Tak bardzo nieдрzewni, nie wiadomo dokąd pędzący, cwałownicy w wiecznej gonitwie, gadacze do plastikowych pojemniczków na głos, mimowolni dręczyciele kierowani ślepym przymusem, wypełniający bezlitosny nakaz dreptania w tę i nazad, taptaptapiarze.

I począł się garbi, dom, biedulek, niemalże w oczach. Dotknięta intensywnym starzeniem, zmurszała, zemszniała od środka i na zewnątrz, jakby z tęsknoty za kojącym chłodem otoczenia chatka w ciągu kilku dni przechyliła się o dobrych czterdzieści stopni. I wtedy zaczął się prawdziwy upadek: karlenie. Wypląszczanie się, sprasowywanie, jakby była traktowane potężnym i niewidzialnym żelazkiem.

Jak najdosłowniej, niczym za sprawą czarów, domek Pancelszyków malał, z godziny na godzinę zmniejszał swój metraż. Lilipuciał sukcesywnie i całościowo, tajemna siła nie oddzierała go po kawałeczku, lecz... no jakby zbiegał się w praniu, stawał coraz bardziej pomarszczony, mniejszy i głębiej wrośnięty w ziemię. Eternitowe pokrycie dachu w ciągu tygodnia zanikło zupełnie i, płaski, niczym flądra dom zaczął wyglądać jak po przejściu huraganu. Albo jakby właśnie był w stanie zaawansowanej rozbiórki.

Co bardziej spostrzegawczy przechodnie zatrzymywali się czasami za siatką, starali pojąć, co im w obecnym kształcie pancelszykowej chaty nie gra, na czym polega różnica, czym jest wizualny dysonans pomiędzy jej dziś, a wczoraj.

Dość szybko jednak odpuszczali, kto by miał czas na głowienie się, zaprzatanie sobie umysłu jakimiś bzdurami. Ktoś przystanął, pokontemplował — i wracał do codziennych zajęć, najzwyczajniej w świecie

szedł dalej.

Szedł, szedł, szedł. wszechtupot milionów nóg przybierał na sile, coraz to nowe fale ludzi, ludzi, nóg, ludzi, butów, stóp, nóg, tup, tup, tup, tup, klak, klak, klak, szpilek po brukowej kostce.

Biedny pan Władek początkowo nie wiedział, co się dzieje, dziwne zmniejszenie się metrażu, ciągle kurczenie się jego domu złożył na karb... starości. Swojej. Uznał, że chyba coś się z nim niedobrego stało, pewnie przeszedł mikro-, albo i nie mikroudar, że mu tak nagle świat pociąśniał. Pewnie to wina wzrostu ciśnienia czaszkowego, albo uszkodzenia płatów czołowych, lub czegoś gorszego. Starość — wiadomo: nie radość, ale żeby tak nagle widzieć izby, kuchnię, tak dobrze znajome, o połowę mniejsze? Podeszły wiek przygarbaca, przygina człowieka do ziemi, rozmazuje mu obraz...

Nim szcził się, pechowiec, co się wyprawia, jego klitkodom o niemal ujemnej kubaturze, płaska ekschałupa, dwuosobowa trumna właściwie, ledwie wystawała z trawy. Obudził się na łóżku matki-matuzaleмки, przyciśnięty do niej. Sufitem. I począł wołać pomocy, wszystkich świętych pańskich, jacy tylko mu się na myśl napatoczyli, wzywać od Huberta, patrona myśliwych, przez Damazego, Rufina, Elizę, Dorotę, Kingę, Judytę, po świętego ojca Pio.

Pani Gienia, nagle wyrwana ze snu, dołączyła do lamentu. Średnio kojarząc o co kaman, rozwyła się wniebogłosy, bez słów. Niestety, był akurat ranek i kilkudziesięciodecybelowe tupocisko rzesz przechodniów skutecznie ów jęk i owo wołanie zagłuszyło. Spieszyli się do pracy, eko-świrusy kontramotoryzacyjne i bezprawojazdowcy, diatwa w wieku przeróżnym parła do szkół, legiony emerytów kuśtykały na zakupy, albo na pierwszą tego dnia mszę (jak wiadomo — prawdziwi dewoci potrafią spędzać w ławkach bite doby, w dodatku — klęcząc, nie brak też podobno istnych ekstremalsów religijnych, co nigdy nie opuszczają chłodnych murów bazylik, czy archikatedr, dokarmiani przez kościelnych i inne moherowe babcie, uważani są za swoistych rekluzów w tłumie, za anachoretów i cieszą się potężnym szacunkiem współloczadzeńców).

Zdzierali więc gardła drugą godzinę. I trzecią. Piątą i niema pół szóstej. W końcu jakaś dobra dusza zadzwoniła na 112.

Wyciągnięci na powierzchnię przez strażaków, poważnie odwodnieni, bo w upale i od wrzasku zasycha w gardle, cała wilgoć organizmu zostaje przekierowana do jamy ustnej, a jak tejże wilgoci zabraknie — krzyczy się czystą solą; zmordowani staruszkowie trafili prosto na SOR. Nim doszli do siebie na tyle, że byli w stanie powiedzieć, co się stało — po ich chatynce nie było śladu. Dziura w ziemi, popiwniczna, zaślepiła się, niczym rana.

Opieka społeczna szybko znalazła im nowe lokum, nie zostali, oczywiście, wypisani na ulicę. Machina urzędnicza momentalnie, w kilka dni po przemienieniu staruszków, wypuła ich, jak najdalej. Mieszkają po dziś dzień w DPS Ryfalczyn, niejako pogodzeni z losem. Pan Władysław, chyba ciągle nie mogąc uwierzyć w to, co zaszło, odpuścił. Nie walczy z biurwokratami, nie stara się przekonywać każdego naokoło, od pielęgniarek, współpensjonariuszy domu pomocy społecznej, po salowe, że chałupę mu zdeptali, bandyci, przechodniotupy, kurwy buciarskie.

Pani Gienia niewiele już kojarzy.

...no żeby tak się obejść ze starymi ludźmi! I to jest niby państwo prawa, w środkowej Europie, należące do Unii, NATO? Na kolanach powinni przepraszać, urban-zamordyści planistyczni, pop pracy, z

własnych środków i własnymi łapami odbudowywać zniszczony wyraj Pancelszyków, odstawić im porządną chatę z odpornych na tupot materiałów, a — choćby i z granitu!

...Gienkowi Letyniukowi — tak samo! Mu też dom rodzinny nieco przymalał. Nie daje się, chłopina, dzień w dzień, noc w noc walczy z czarem rachityzmu: a to drzewa, krzewy dookoła sadi, a to gałęziami ochronnymi dach i elewację obłożył, a to plastikowych choinek na tarasie nastawiał, ogrodzenie — zapożyczył się i zmienił na wysokie i betonowe, a to substancje przeróżne cuchnące (najczęściej — kwas mąsłowy) na chodnik przed swoją posesją wylewa, coby przechodniów odstraszyć, albo przynajmniej zniechęcić do łożenia. Bronią się, Letyniukowie, wszelkimi siłami, ślą pisma od Annasza do Kajfasza, do "Uwagi", "Interwencji", "Expressu reporterów". Nawet panią Jaworowicz wzywali, ale odmówiła przyjazdu, na błagalny list odpisała w jej imieniu jakaś ciura z TVP, że "prosimy nie kontaktować się więcej w w/w sprawie".

Wydrwiona przez policję i straż miejską, wyśmiana przez paru radiestetów i słynnego jasnowidza Jakowskiego, wychodzi na co najmniej parę godzin, rankiem i późnym popołudniem, w okresie największego natężenia ruchu, rodzina pana Gienka i... milczy. Stoją jak słupy, wpatrują się kamiennym wzrokiem w elewację domu, nieboracy. I są przeciwwagą, kontrapunktem dla tupaczy, roznosicieli nieznośnego dźwięku, i próbują niejako tą statycznością przebłagać chatę za grzechy reszty ludzi, powiedzieć swoją postawą: "patrz — jesteśmy inni, nie zrób nam krzywdy, nie zaduś we wnętrzu, pozostań, jaka byłaś, to oni są źli, to oni robią hałas — nie my".

Jak na razie — pomaga: dom Letyniuków zmniejszył się o circa pół centymetra. Nie to, co u sąsiadów, którzy mieli żydowskie nazwisko...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 12.06.2021 15:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.